

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień Dnia 15-go czerwca 1946r Rok VIII. Nr. 24

### ZAGADNIENIA NIEMIECKIE

Wydaje się, że zagadnienie Niemiec nie jest tak rozległe i tak rzeczowo dyskutowane, jakby się tego należało spodziewać. W rok po złamaniu Rzeszy jesteśmy myślowo akurat na tym samym punkcie, na którym byliśmy w maju 1945-go r. W ciągu roku niewiele pojawiło się dobrych nasświetleń zagadnienia Rzeszy: politycznie sprawa nie ruszyła z martwego punktu. Na ostatnim odcinku paryskiej konferencji, zakończonej dnia 16-go maja, tylko pobieżnie przejrano tę sprawę. Nie powzięto żadnych postanowień. Nie zdołano niczego uzgodnić. I sprawa Niemiec będzie dalej się ślimaczyla — pozostawiona wypadkom, kaprysom losu, napięciu, jakie wytworzyło się między Anglosasami i Rosją.

Jest to — trzeba to sobie powiedzieć otwarcie — najgorsza ze wszystkich możliwości: albowiem zagadnienie Rzeszy niemieckiej nie będzie ujęte w ryzy, w karby, nie będzie przedmiotem planu, logicznej myśli. Będzie wynikiem i wypadkową napięć między wielkimi mocarstwami, będzie rzucała falą wypadków.

Należy tego rodzaju stan rzeczy uznać za zdecydowanie zły, jeżeli nie katastroficzny. Jest dzisiaj rzecz jasna — co było weale wyraźnie od dawna, a więc od Jalty, a tym bardziej od Poczdamu — że Rzesza nie będzie przedmiotem żadnej wspólnej polityki, ale że pocięta będzie w paski i poletka, okupacje i strefy: że będzie jak postaw sukna ciągnięty raz w tę raz w drugą stronę. Ze podział na „zony” będzie zjawiskiem trwałym. Ze innymi słowy nie ma mowy o żadnej wspólnej polityce mocarstw w Rzeszy. Czyli, że puszczono ten olbrzymi obiekt na fale przypadku.

Żuł sam fakt, że tak wielki obszar, centralny obszar Europy, kraj, którego los, stan gospodarczy, polityczny, moralny musi interesować wszystkie kraje Europy — nie tylko ościenne — chociażby najbardziej Niemców nie nawiązały i żyły w zniknięciu z powierzchni ziemi, już sam ten fakt, iż teren ten jest przedmiotem przypadku, targów, musi nasuwać najgorsze przypuszczenia oraz obawy.

Jeżeli nie zdołano dojść do porozumienia na temat Rzeszy, to jakież są szanse, że jakiegokolwiek zagadnienie w Europie będzie postawione, rozwiązane; że jakiegokolwiek sprawa w Europie będzie załatwiona, że obietnice będą dotrzymane? Przykład Niemiec dowodzi, iż mocarstwa zachodnie nie mogą znaleźć wspólnego języka z Rosją na temat najbardziej mocarstwa obchodzący. Poczdam mówił, iż Rzesza ma być traktowana jako jedność. Potem wspomiano, że chodzi tu właściwie o jedność gospodarczą. Okazało się, że nawet tego warunku nie dotrzymano.

Rzesza jest podzielona na cztery „zony”. Okupacja tych stref trwać będzie niewiadomą ilość lat. Może 5, może 15. Nikt nie wie, jak długo zostaną np. wojska amerykańskie. Nikt nie wie, jak długo pozostaną wojska brytyjskie. Francuzi niebardzo wiedzą, jak długo zostaną sami. Nie wiemy również niczego o planach Rosji.

Komisja kontrolna Rzeszy czyli t.zw. *Allied Control Commission* (A.C.C.) radzi w Berlinie. Przedstawiciele czterech armii dyskutują każde zagadnienie. Jest to jedyna komórka, która poświęca się sprawie uzgodnienia praktycznej polityki w Rzeszy. Doświadczenia wspólne są tam przedstawiane. Ale na szczeblu politycznym — a więc ministrów czy wiceministrów spraw zagr. czterech mocarstw — nie ma odpowiednika.

Paryska konferencja załamała się wyraźnie na Rzeszy. To była niejako kropka, która przepelniła czarę. Przede wszystkim Rosja nie chciała dyskutować zagadnienia traktowania Rzeszy jako całości. Sekretarz stanu USA, Byrnes, zaakcentował mocno konieczność takiego właśnie ujęcia sprawy. Rosja odpowiedziała, że zainteresowana jest zagadnieniem Nadrenii i Saary, albowiem tam spoczywa lwia część niemieckiego potencjału wojennego. Poza tym wyraziła pewne zastrzeżenia co do polityki brytyjskiej rzekomo forsytującej szczytlik armii niemieckiej (na ten temat pisma amerykańskie, głównie za pośrednictwem wybitnego publicyście amerykańskiego Waltera Lippmanna zamieściły ostatnio roz-

maite rewelacje; wiele wskazuje na to, że Lippmann w ogóle nie był w zonie brytyjskiej i że jego informacje są nieścisłe).

Rzecz zakończyła się zatem wzajemnym wypominaniem sobie grzechów.

Żądanie mocarstw zachodnich, ażeby Rzesza była traktowana jako całość wydaje się spóźnione w czasie. Albowiem zgodzono się w pełni na podział Rzeszy na strefy, co nieuchronnie przyniosło dwa co najmniej systemy (polityczne i gospodarcze).

Wschód Rzeszy jest dzisiaj niewątpliwie włączony w obszar gospodarki sowieckiej. Został on albo zdemontowany, albo też pracuje dla Rosji. Niedawno ogłoszono ciekawe dane na temat np. zakładów optycznych Zeissa. Okazuje się, że pracują one na większych obrotach niż przed wojną i że produkcja ta idzie do Rosji; Związek sowiecki postępuje całkowicie logicznie uważając, iż nie warto przenosić zakładów tak specjalnych i precyzyjnych. Woli czerpać korzyści z tych zakładów. Jeżeli jednak na zachodzie pojawiłaby się podobna myśl, byłaby nielada z tej racji awantura.

Jeżeli chodzi o strefy na zachodzie oraz południu Rzeszy, to francuska wykazuje mieszany zamęt i dobrej woli. Zamęt jest spory, braki żywnościowe poważne, ale to trzeba przy-

znać administracji francuskiej, że mimo nieladu stara się zachować jakąś linię, która streszcza się w tym, że Niemcom należy pozostawić swobodę kulturalną, ale kontrolować ich w dziedzinie przemysłu i produkcji. Na tych przesłankach oparto np. otwarcie wszechnic niemieckich w strefie francuskiej.

Strefa amerykańska wahała się między uprawianą wstępnie polityką niszczenia i demontowania fabryk, która prowadzona była w myśl zamieniania Rzeszy w kraj rolniczy, a obecnym kierunkiem stworzenia w Rzeszy znośnych warunków i nieporażania kraju w gospodarce ruinę.

Najwięcej sensu widać było od początku w strefie brytyjskiej, gdzie panował zarówno ład, jak i administracyjny porządek, widoczny był wysiłek opanowania terenu i dbanie o to, ażeby nie stał się on ciężarem dla „brytyjskiego podatnika”.

Anglicy uważają, iż Rzesza musi się sama wyżyć, że winna najwięcej produkować. Losy produkcji przemysłowej Rzeszy — oto co winno być postanowione. Na podobnym stanowisku stoi Francja. Jest ona w zasadzie przeciwna niszczeniu Rzeszy. Uważa, że trzeba opanować produkcję kuźni wojennej Rzeszy — Nadrenii. Ze Nadrenia — na tym polegały pierwsze plany francuskie — winna stać się własnością niejako

wspólną Europy. Ze Narody Zjednoczone winny rozciągnąć kontrolę nad tym obszarem.

Późniejszy plan francuski dalej idący — przypuszczalnie pod wpływem komunistycznych nacisków — powiadał, iż należało by odłączyć ten obszar od Rzeszy i powołać do życia odrębne państwo. Jest rzeczą ciekawą, że niejako w tle tego planu porusza się myśl, iż odpowiednie odrębne państwo należało by powołać do życia na wschodzie Niemiec. Dowodziłoby to zatem, że kadłub Rzeszy niemieckiej winien zyskać niejako dwa skrzydła: zachodnie i wschodnie — dwa niezależne państwa.

Jest to o tyle ciekawa myśl, że uderza ona w t.zw. ziemia odzyskane, przyznane Polsce — ale na razie postanowieniem tylko jednostronnym. Albowiem mocarstwa zachodnie nie potwierdziły jeszcze tego postanowienia. Na naradzie paryskiej Bevin przypomnił, że jeżeli chodzi o wschód Rzeszy to mamy do czynienia z linią demarkacyjną. A zatem nie tylko opozycja JKM (Churchill) nie pochwala granicy zachodniej Polski, ale i rząd JKM ma swoje zastrzeżenia.

Sytuacja staje się jeszcze mniej jasna przez to, iż t.zw. „Partia Jedności”, montowana w Berlinie z socjalistów oraz komunistów — najwęższej pod naciskiem zarówno komunistów, jak i panów sytuacji t.j.

Rosjan — wysunęła już hasła, iż „Odra i Łaba nie są granicami dla Partii Jedności”. Te hasła pojawiły się przed 1-ym maja. Nie były one niesione na transparentach zbyt wyraźnie w pochodzie 1-go maja w Berlinie, ale pewnie wywieszki (dotyczące Odry) już się zjawiały.

Dowodziłoby to, iż komunistyczna partia Rzeszy — dawna KPD — przechodzi do ataku pod hasłem skrajnie nacjonalistycznym; nie ma w tym zresztą niczego nowego, albowiem partie komunistyczne szermują wszędzie hasłami narodowego szowinizmu. Liczy KPD na to, że jej popularność w Rzeszy gwałtownie skoczy w górę. Znaczący nacjonalizm niemiecki można by powiedzieć, iż to szanse są weale duże. Nacjonalizm ruchu, który określa się dzisiaj już jako *National-Bolschewismus* — nie zapominajmy, iż ruch hitlerowski był przecież *National-Sozialismus* — może pomóc mu ogromnie. Do tego trzeba wywiesić hasło zjednoczenia Rzeszy, oczywiście bez wspomnienia o pewnych obszarach, które są we władaniu Rosji. To natomiast, co ma Polska, może być już wymieniane.

Komuniści niemieccy są dobrymi uczniami: wiedzą, że mogą zdystansować komunistów polskich. I że Rosji będzie więcej zależało na komunistach niemieckich, wśród których jest sporo doskonałych organizatorów, ludzi doświadczenia, — szeregi ich pęczniały od napływu dawnych „nazich”, np. pewnych „uczonych” teoretyków niemieckiej Eur-azji, jak prof. Nikisch — anieli na komunistach polskich, raczej bałaganiarzach, drugorzędnych, niedouczonej postaciach. W tej walce komunistów o łaski Rosji niemiecka stawka ma wielkie szanse dojścia pierwsza do mety.

Te wszystkie manewry są groźne dla przyszłości zagadnienia niemieckiego. Dowodzą one bowiem, iż Rzesza stała się wielkim polem rozgrywki. Swojego czasu — było to jeszcze w r. 1943-im — autor tych słów wypowiedział zdanie, że po zwycięstwie nad Niemcami „zacznie się walka o duszę narodu niemieckiego” i że „wielka batalia dyplomatyczna powojennego okresu zacznie się w Berlinie”. Uważano to wówczas było za skrajnie czarno-widztwo. Dzisiaj jest to oczywisty fakt.

Rzesza jest terenem przetargu. Niemcy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Wiedzą, że ich jedyna szansa wydobycia się z matni, to granie raz na tych raz na drugich. Dlatego w strefie wschodniej grają na Rosję, w zachodniej na Anglię.

W polaci wschodniej siły partii komunistycznej rosną. Doniesienia wiarygodnych obserwatorów mówią, że wielu Niemców — tysiące — garnie się do biur partii komunistycznej z tym samym karnym zapalem co ongiś do biur *Winterhilfe* czy *NSDAP*. Uważają, że skoro komuniści mają władzę w ręce, to trzeba być albo dobrze z komunistami albo zostać najszybciej komunistą. Najgorzej być obywatelom drugiej klasy, to jest takim co ma *nieblagonadionną* przynależność partyjną.

Sily komunizmu rosną na wschodzie. Na zachodzie socjaliści, partie centrowe — katolickie — nabierają na sile. Socjaliści wiedzą, że mogą przegrać wyścig z komunistami. Starają się zatem na zachodzie wytargować pewne ustępstwa — oczywiście w nadziei, że mocarstwa zachodnie opowiedzą się za jednością Rzeszy i stwierdzą, że jednak kształt terytorialny Rzeszy obecnej nie odpowiada życzeniom Zachodu. Wiemy o co chodzi.

Niemcy wiedzą, że napięcia między Rosją a Anglosasami rosną. Nie nienawidzą niczego, ażeby przekonać obie strony, że są koniecznie potrzebni. Ze są potrzebnym sojusznikiem na wszelki wypadek. Stąd obie strony, chcąc nie chcąc, wpakowały się w sytuację, w której nie będą mogły pannać nad Rzeszą, ale muszą poddać się wpływom Niemców — i zabiegać o względy niemieckie doszedłszy do wniosku, iż istotnie są oni niezbędnie potrzebni.

Taka jest „klatwa złego czynu”, jak powiada niemieckie przysłowie. Okupacja czterech mocarstw okazała się po roku tym, czym okazać się musiała — polityczną katastrofą.

### OD SŁOWA DO SŁOWA...

Doniesienia z trzytygodniowych narad paryskich, od 25 kwietnia do 16 maja 1946, t.zw. Rady Ministrów Spraw Zagranicznych, Bevin-Bidault-Byrnes-Mołotow, powtarzające dzień w dzień, że znowu nie osiągnięto porozumienia, były wielce puste. Okazuje się jednak, że i w takich sprawach życie nie znosi pustki: *natura horret vacuum*. P. Byrnes w Ameryce, która bardzo nie lubi tajnej dyplomacji, już 20-go maja 1946 musiał opowiedzieć radakom, co tak długo robił i dlaczego tak mało zrobił w Europie, więc nie tań, że gdy trzy koła B-B-B ruszały naprzód, czwarte zawsze w tył; p. Molotow, 27-go maja 1946, produkuje na czas i ilość słów, zapełnił lamy pism sowieckich swoim ujęciem przeciwności, w którym p. Byrnes nazajutrz, 28-go maja 1946, sprostował ważniejsze twierdzenia z zapiskami z narad w rękę; p. Bevin 4-go czerwca 1946 w Izbie Gmin dołączył się do wymiany wrażeń, zdań i cierpkich wynurzeń.

I tak od słowa do słowa rozpoczęła się rozmowa.

Wywody p. Molotowa były nie tyle *exposé* polityki rosyjskiej ile, od początku do końca, szermierką, w której zapasnik, to zagarniając sierpem to uderzając młotem, zachwyca obrótnością, lecz, będąc przyćmiewanej wagi, nie dość się chroni przed tym, co się zwie *preter le flanc* czyli odsłanianiem boków.

Zaląc się, że, gdy Rosja żąda odszkodowań od...Włoch, Stany Zjednoczone Ameryki i Wielka Brytania, (które musiałyby dać na to, jak już na wiele rzeczy, pieniądze Włochom) nie mają jakoś zrozumienia dla tych rosyjskich żądań odszkodowawczych, (zwłaszcza, że Rosja nie chce tu zaliczać okrutów włoskich, które jej przyznano, uważając je za łup wojenny, chociaż, jak zaznacza p. Byrnes, nie ona go zdobyła) p. Molotow zauważa melancholijnie:

„Nie pierwszy to raz widzimy, że Państwa, które nie zaznały najazdu, inaczej patrzą na odszkodowania, niż Rosja Sowiecka”.

Cóż dopiero powiedzieć ma Polska, która doznała najazdu nie jednego lecz dwu, niemieckiego i rosyjskiego, po czym Rosja zastrzegła sobie, że Polska nie dostanie odszkodowań od Niemiec bezpośrednio, lecz od Rosji jako cząstkę jej odszkodowań, zarazem zaś sama wywozi z Polski wszystko co popadnie, ogalając ją z mienia i warsztatów.

Szermierz Molotow wyciągnął spreżycie ramię w zabójczym ciśnie:

„Kapitały angielsko-amerykańskie usiłują poddać pod swe wpływy wielkie i małe państwa i obrócić t.zw. pomoc gospodarczą tym krajom w narzędzie ujarzmienia”.

A tu spod pachy wysypały mu się osławione układy gospodarcze obecne

Rosji z krajami Europy Środkowo-Wschodniej, które gorują nad wszystkim dotychczas znanym w tej dziedzinie jako urczywistnienie gospodarczej niewoli.

Oburzenie na W. Brytanie, która: „...wystąpiła w wnioskiem obwieszczenia t.zw. niepodległości Libii wraz z Trypolitanią i Cyrenajką, lecz bez wywołania wojsk brytyjskich z tych obszarów”.

„...niepodległość Europy Środkowo-Wschodniej zalanej wojskami rosyjskimi?”

Patrzeć narody, wola p. Molotow, wszak w kręgu Afryki Północno-Wschodniej chętao:

„...stworzyć, pod opieką Wielkiej Brytanii, t.zw. Wielkie Somali, obejmujące nie tylko Somali Włoskie lecz i szmat ziemi Etiopii, która należy do zespołu Narodów Zjednoczonych...”

A Lwów i Wilno wraz z połową Polski, sprzymierzonej przeciw Niemcom od pierwszego dnia wojny i należącej do Narodów Zjednoczonych, po prostu zagrabione przez Rosję!

Ba, p. Molotow, chcąc uwydatnić nieprawdopodobną ustepliwosć Rosji, chwalił się, że nie zażądała ona oddania Trypolitanii na kilka lat pod zarząd rosyjski:

„...choćby byłoby to bardzo ważne dla kupońców rosyjskich na szlachek Morza Śródziemnego i całkowicie zapewniłoby ustanowienie narodowej niepodległości Trypolitanii w krótkim czasie”.

Oczywiście, tak jak Litwy, Łotwy, Estonii, Polski i w ogóle całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Lecz p. Molotow podał to właśnie jako przykład ujmującej układności Rosji:

— Ot, widzicie, mimo wszystko nie zażądaliśmy, byleście dali Triest, więc jakże łatwo z nami się dogadać!

Bo p. Molotow to dobry człowiek. On ostatecznie odda należącą się Rosji tak niewątpliwie Trypolitanie. Był za to nie wtrącać mu się do... Triestu a cóż dopiero do tych marnych dziesięciu krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Najsłynniejsi bodaj objaśnił p. Molotow to szczególne zjawisko, iż we wszystkich najważniejszych sprawach jakoś tak dziwnie się składało, że przeciw stanowisku rosyjskiemu było zgodne stanowisko amerykańsko-brytyjsko-francuskie, bo:

„...było oczywiście — powiada, przemilczając tu Francję, — że przedstawicielstwa Ameryki i Wielkiej Brytanii działały zazwyczaj na podstawie uprzedniej zmowy...”

Nie chcą Triestu dać Jugosławii czyli rządzącej w niej Rosji? Chcą swobody żeglugi na Dunaju dziś całkowicie i wyłącznie opanowanej przez Rosję? Chcą wolności krajów Europy Środkowo-Wschodniej ujarz-

mionych przez Rosję?

Toż to — czy nie widzicie — jawna zмова!

P. Molotow zaś, przynigdy, broń Boże, za żadną cenę, nie uznaje zmowy...w trzech, gdyż jest zasadniczym i jak najbardziej stanowczym wyznawcą zmowy...w czterech.

Oto bowiem p. Molotow nadal twierdzi, że Konferencja Pokojowa 21 Państw nie może się zebrać celem zawarcia układów pokojowych z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią, póki nie będą jej przedstawione projekty układów, ułożone zgodnie przez cztery państwa, St. Zj. Ameryki, Wielką Brytanie, Francję i Rosję. Gęsto zapewniając, że trzyma się ściśle umowy w Moskwie, pomija milczeniem jej postanowienie, że Konferencja 21 Państw ma się zebrać nie później niż 1 maja 1946, czyli że projekty mają być do tego czasu gotowe, a za to, powiedzmy łagodnie, zniekształca brzmienie tej umowy, dodając małe słówko: uzgodnione projekty, czego w umowie weale nie ma, a co oznaczałoby dopuszczenie *veto* jednego państwa i odkładanie układów pokojowych w nieskończoność. Ale zarazem znaczy to, że p. Molotow zaleca...zmowę czterech, o ile wynik jej będzie zgodny z wolą Rosji, oraz narzucaenie jej 21 Narodom, lub zgola 51 Narodom Zjednoczonym, którym odmawia w ogóle prawa zajmowania się pokojem w świecie, wbrew istocie jej bytu i wbrew wyraźnemu brzmieniu art. 14-go Karty Narodów Zjednoczonych.

Więc p. Bevin w Izbie Gmin 4 czerwca 1946 malował stan rzeczy w wymownych pytaniach:

— Dlaczego 21 lub 51 Narodów ma czekać w sprawie pokoju na pozwolenie Rosji? Dlaczego ma się przedłużać wyłączne władanie Rosji za t.zw. żelazną zasłoną w środku Europy? Dlaczego, skoro w Moskwie mówią ciagle o bezpieczeństwie, nie chcą 25-letniego układu z udziałem St. Zj. Ameryki i 50-letniego z W. Brytanii? Dlaczego rosyjska dyktatura ma być demokratyczną a wszystko inne faszyzmem?

Więc tak od słowa...

Właściwie bowiem, w mieszanym towarzystwie, czy bal czy dyplomacja, choć to się zawsze w czar zaczyna, powoli przyskają łuski rozmyślnych i nierozmyślnych żuźdeń:

I tak od słowa do słowa rozpoczęła się rozmowa, Ten go w szczękę, ten go w ucho, I z damami było krucho.

Tu zaś, z tak ochozo wysuwanyymi tym razem zwłaszcza przez p. Molotowa nadobnymi postaciami prawdy, prawa i wolności, bardzo ale to bardzo krucho.

STANISŁAW STROŃSKI

POLITICUS

F.P. 1784



## ŚWIAT NA OPAK

Właściwie powinniśmy wszyscy być już do tego przyzwyczajeni, że żyjemy w świecie, który jest po prostu domem wariatów. Od kilkunastu miesięcy ludzkość chodzi na głowie i wstyżenie najbardziej elementarne pojęcia zostały wyrwane z głowy i wstyżenie. Nie powinno nas zaskoczyć. A jednak rozsądek buntuje się przeciw tym różnym dowodom, że wszystko w dzisiejszym świecie dzieje się na opak.

W ciągu ostatnich kilku dni mieliśmy do zanotowania takie fakty jak stwierdzenie przez podkomitet ONZ, że jest jeden kraj, który stanowi potencjalną groźbę dla pokoju, a to ze względu na swój ustrój wewnętrzny. Ale tym państwem, które grozi pokojowi, które utrzymuje zbyt wielką armię i które nie daje swym obywatelom wolności, jest według panów dyplomatów nie Rosja, nie Jugosławia, nie pół tuzina innych wysuwniętych placówek imperializmu sowieckiego, lecz... Hiszpania. A wśród oskarżycieli głównym jest pan Lange — kukła, przez którą przemawia, niczym bruchomowa, przedstawiciel najstraszliwszej tyranii na świecie, Gromyko. Świat na opak.

W Londynie odbyła się parada Zwycięstwa. Ci, którzy walczyli u boku W. Brytanii, nie byli zaproszeni do wzięcia w niej udziału. Natomiast zaproszono tych, którzy przygotowują się całą parą do wojny z W. Brytanią. Świat na opak.

W Białogrodzie rozpoczyna się proces jednego z wielkich bohaterów wojny gen. Michałowicza. Oprawcy narodu jugosłowiańskiego, agenci obcego mocarstwa, będą sędzić najlepszego syna swego kraju. Niewątpliwie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w W. Brytanii odzywają się głosy oburzenia i protestu przeciw tej straszliwej zbrodni, którą przygotowuje dyktatura Tity. Ale rządy mocarstw zachodnich nadal utrzymują stosunki z oprawcami Jugosławii, a jeżeli nie było w paradzie zwycięstwa czerwonych gwiazd tytułowych partyzantów, to tylko dlatego, że rząd jugosłowiański jest... obrażony na W. Brytanię. Świat na opak.

## EUROPA PRZECIW KOMUNIZMOWI

Są jednak objawy świadczące o powolnym, ale stałym budzeniu się świata z tego stanu odurzenia, w jakim do tej pory się znajduje. Paraliż myślenia i woli narodów Zachodu, dzięki któremu Rosja odnosiła tyle sukcesów, zaczyna mijać.

Po stronie aktywów zanotować należy wyniki wyborów we Francji i we Włoszech. Wyniki włoskie są jeszcze lepsze, aniżeli wyniki francuskie. Jeśli bowiem w obu krajach sukces odniosły partie chrześcijańsko-demokratyczne, to jednak we Francji komunizm reprezentuje nadal bardzo poważną siłę, której niepodobna lekceważyć. We Włoszech natomiast piąta kolumna komunistyczna, aczkolwiek silna, nie jest groźna. Na partię komunistyczną padło o połowę mniej głosów, niż na chrześcijańskich demokratów.

Wyniki wyborów w obu tych krajach, podobnie jak poprzednio w Belgii i Holandii, gdzie pierwsze miejsca zajęły partie katolickie, jak wreszcie wybory w Austrii, na Węgrzech i w Słowacji, (która głosowała tak całkiem inaczej, aniżeli zawsze gotowi do zdradzenia Europy Czesi), świadczą, że Europa nie tylko odrzuca komunizm, ale ponadto czuje potrzebę przeciwstawienia mu czegoś więcej, aniżeli tylko programów antykomunistycznych. Europa wie, że współczesny komunizm, to religia, której nie można zwalczyć inaczej, niż przez przeciwstawienie jej innej, lepszej religii. Dlatego też triumfują dziś na kontynencie partie, reprezentujące światopogląd chrześcijański z jego poszanowaniem praw człowieka i obroną wolności jednostki. Jednocześnie te partie — szczególnie francuska M.R.P. — w pełni doceniają konieczność daleko idących reform społecznych, nacjonalizacji kluczowych gałęzi przemysłu itd. Wyniki francuskie wykazały, że reakcja przeciw komunizmowi nie stanowi bynajmniej — reakcji społecznej.

Europa dzisiejsza daje światu nowy program, którego nie może mu ofiarować, ani totalistyczna Rosja sowiecka, ani kapitalistyczna Ameryka: program chrześcijańskiego socjalizmu. Wyniki wyborów w tych krajach, w

których były one wolne, dowodzą jak dalece społeczeństwa są zjednoczone na płaszczyźnie tego rodzaju programu. Jeśli chodzi o Polskę, to przyjęcie przez wszystkie stronnictwa polskie pod okupacją niemiecką programu, zawartego w słynnej deklaracji Rady Jedności Narodowej z 1944 roku, najlepiej świadczy o tym, że Polska, gdyby była wolna, kroczyłaby po tej samej linii, co inne kraje kontynentu należące do kultury zachodniej.

## KRYZYS SOCJALIZMU

Wyniki wyborów na kontynencie, a zwłaszcza we Francji rzucają także dużo światła na kryzys, jaki przeżywa ruch socjalistyczny. Wiele haseł socjalistycznych triumfuje, ale jednocześnie partie socjalistyczne tracą swe wpływy. Wybory francuskie były wielką klęską socjalistów.

Przyczynę tego nie trudno ustalić. Weszliśmy w fazę nowej wojny religijnej — głębokiego konfliktu ideologicznego między totalistycznym komunizmem z jednej strony, a demokratycznym, silnie uspołecznionym indywidualizmem z drugiej. Trzeba się wyraźnie opowiedzieć za jednym lub drugim światopoglądem. Tam gdzie socjalna demokracja przejmując kierownictwo w walce z komunizmem, tam jej pozycja jest silna; np. w W. Brytanii. Tam natomiast, gdzie w imię

wspólnych haseł marksistowskich, w imię „jedności ruchu robotniczego” itd., socjaliści łączą się z komunistami, ich pozycja staje się coraz bardziej trudna. Część ich zwolenników przechodzi wprost do obozu komunistycznego, podczas gdy ci, którzy widzą niebezpieczeństwo komunistyczne, oddają swe głosy na partie zdecydowanie antykomunistyczne.

Kontynentalne partie socjalistyczne na ogół nie zdobyły się do tej pory na jasne i zdecydowane odrozdzenie się od komunistów. Zarysowuje się możliwość, że w niektórych krajach kryzys socjalizmu doprowadzi wręcz do rozpadnięcia się tych partii; lewe skrzydło dołączy do komunistów, a prawe współpracować będzie z demokratycznymi ugrupowaniami antykomunistycznymi. Wydaje się reszta rzeczą pewną, że komuniści dążą do takiego rozbitcia socjalizmu, widząc w nim jedyną szansę wzmocnienia własnych szeregów.

Ten rozwój wydarzeń musi mieć poważne konsekwencje międzynarodowe. Jeszcze niedawno brytyjskie socjaliści, którzy w przeciwieństwie do wielu swych towarzyszy kontynentalnych jasno odgródzili się od komunistów, liczyli, że uda im się zorganizować zachodnią Europę pod hasłami socjal-demokratycznymi. Teraz jednak okazuje się, że główną

## Przegląd tygodniowy

## W oczach obcych

Sprawa udziału przedstawicieli Polskich Sił Zbrojnych w wielkiej paradzie zwycięstwa może służyć za przykład jak trudno jest opinii brytyjskiej wczuć się w istotę zagadnienia. Niewątpliwie duży odłam społeczeństwa wyczuł tragiczny paradoks, jakim była nieobecność Polaków w paradzie, mającej uświetnić zwycięstwo w wojnie rozpoczętej formalnie w obronie Polski. Jego oburzenie znalazło wyraz w pięknym liście 10 posłów do „Daily Telegraph” i w ostrych słowach posła Law w Izbie, potępiających „małoduszną i pogardliwą godną decyzję” niezaproszenia żołnierzy polskich. Ale, jeśli sędzić po prasie, to na ogół nie ma zrozumienia o co chodzi.

Tak np. „Manchester Guardian” nawołując do zmiany stanowiska rządu Osóbki i jego odmowy przysłania reprezentacji, pisał:

„W ten sposób wysiłki rządu brytyjskiego pogodzenia praw nowej i starej (sic) Polski do miejsca w defiladzie Zwycięstwa skończyły się porażką... Łotwicy polscy z bitwy o W. Brytanię, którzy zostali zaproszeni do udziału, odrzucili zaproszenie ze względu na wykluczenie ich towarzyszy z armii i marynarki, którzy walczyli na Zachodzie. Tak więc dzielny sojusznik, któremu każdy pragnąłby złożyć przynajmniej niepolityczny hołd znika z widowni...”

Wielki dziennik liberalny nie jest w stanie pojąć, że niekiedy sprawę można załatwić przez kompromis według recepty „I Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”!

Jeszcze bardziej irytujące są głosy pism, które przechodząc łatwo do porządku dziennego nad nieobecnością tych, którzy walczyli u boku W. Brytanii, ubolewają tylko nad odrzuceniem zaproszenia przez marionetki warszawskie. „Sunday Times”, „Daily Mail” i inne pisma jednym tchem wymieniały Rosjan, Polaków i Jugosłowian jakich „sojuszników”, których nieobecność jest pożałowania godna. Otumaniony czytelnik mógłby dojść do wniosku, że Polacy i Rosjanie to jedno i to samo.

Rację miał p. Bevin, gdy parę miesięcy temu mówił, że zadaniem prasy brytyjskiej jest „bawić i wprowadzać w błąd publiczność”!

Rekord w tej dziedzinie wprowadzenia w błąd opinii ustanowił organ lorda Beaverbrook’a „Evening Standard”, w artykule o „polskiej inwazji”. Artykuł ten na równi z wiecem antypolskim w Edynburgu świadczy o planowej akcji podburzania społeczeństwa przeciw Polakom — akcji prowadzonej przez komunistów, ale wspieranej dla takich czy innych powodów przez inne koła. Celem tej akcji jest zdyskredytowanie Polaków przez przedstawienie ich jako byłych ochotników niemieckich — żołnierzy najemnych, służących każdemu, kto ofiaruje „dobre jedzenie i żołd”!

Bardzo mocno potępił tę kampanie kronikarz „Time and Tide”, który w związku z artykułem w „Evening Standard” pisze:

„Próba zatrucia z góry brytyjskiej opinii publicznej w stosunku do żołnierzy polskich, którzy przybędą tu dla demobilizacji i ponownego osiedlenia, przez napiętnowanie ich jako „b. żołnierzy niemieckich” przybiera formy jeszcze bardziej jadownicze.”

„Evening Standard” ogłosił artykuł Charlesa Finlaya, którego nacché do cudzoziemców i ignoranci rasizm przypominają idee, z którymi wojowaliśmy.”

„Nie chodzi tylko o to, że przytaczająca większość tych, którzy dołączyli do naszych sił z szeregów armii niemieckiej, musiła wiele wy-cierpieć i zatrzykować zanim zostali „wydobyti z obozów jenieckich”; że walczyli pod naszym dowództwem (czemu artykuł pośrednio przeczy); i że nasze zobowiązania wobec nich (również kwestionowane) zostały przyjęte przez namawianie ich do tego.”

Znaczenie bardziej niebezpieczną rzeczą jest zaszczepianie prasie brytyjskiej rasizmu w jego najgorszej formie...”

Przytoczyliśmy obszerniej ten głos ponieważ świadczy on, że obrzydliwa kampania antypolska, prowadzona przez osobliwą spółkę komunistów i nacjonalistycznych ksenofobów, napotyka na silne sprzeciwy w społeczeństwie brytyjskim. Musimy jednak być przygotowani na to, że kampania ta jeszcze się wzmoże i że wystawi nas na ciężką próbę.

LECTOR

ALEKSANDER BORAY

## Polska pod okupacją: prawo i sądy w służbie reżimu

Czy dany kraj jest krajem wolności czy niewoli, o tym świadczy nieomylnie trzy dziedziny życia publicznego: policja, prasa i sądy. Po tym, jak instytucje te są postawione, w życiu państwowym pozna się jak na barometrze stopień wolności obywatela. W dzisiejszej Polsce prasa jest skrepowana, policja jest wszechwładna, sądy uzależnione od reżimu.

## „WYPALI OGNIEM PRZYMUSU”

Według pojęć przyjętych w świecie cywilizacji zachodniej prawo i sprawiedliwość winny być wszędzie, zawsze i wobec każdego jednakowe. Sędzia w ramach ludzkich możliwości winien dostrzegać się tylko prawdy, nie bacząc na żadne uboczne cele. Tymczasem dzisiejszy reżim w Polsce chce, aby sprawiedliwość miała cele użytkowe: służyć „demokracji” i tępienie „faszyzmu”. Zrzeszenie Prawników Demokracji w swej deklaracji ideowej, uchwalonej na zjeździe, któremu patronował minister sprawiedliwości Henryk Świętoki, tak określa zadania prawa:

„Prawo jest dla nas środkiem walki o reformę społeczną i sposobem utrwalenia osiągniętych zdobyczy oraz przeobrażenia. Nowe prawo społeczne obejmie i utrwali idee i hasła obecnej chwili przełomowej oraz stać będzie na straży demokracji i postępu. Wypali ogniem przynuszą pozostłości faszyzmu, rasizmu, nienawiści, narodowościowej oraz wyznaczonej oraz wyeliminuje czynnik religijny z zagadnień prawa państwowego...”

Wiceminister sprawiedliwości Leon Chajna w książce pt. „Wymiar sprawiedliwości w odrodzonej Polsce, 1944/45” tak znów określa cele nowego sądownictwa polskiego:

„Sądownictwo musi się przerodzić. Sędzia musi być wyrazicielem nastrojów społecznych. Musi on porzucić zasadę prawdy formalnej na rzecz kolektywnego poczucia prawnego. Wyrok winien być dostosowany nie do formalnych ram ustawy, a do poczucia prawnego narodu. Musimy dążyć do wymiaru sprawiedliwości czynnik religijny — kontrolę społeczeństwa...”

Na zjeździe sędziów i prokuratorów apelacji lubelskiej referat wygłosił tak zwany wiceprezydent Krajowej Rady

Narodowej Wacław Barcikowski, który raz jeszcze dobitnie podkreślił, że sędzia nie ma być bezstronny, ale powinien wyrokować w myśl założeń reżimu narzuconego Polsce. Cytujemy jego przemówienie za „Kurierem Codziennym”:

„Mówca stwierdził — pisze „Kurier Codzienny” — że demokracja i życie społeczne wymaga wnikliwej analizy i że sądownictwo jest najbardziej predestynowane do zrozumienia celów, jakimi kierują się dzisiejsze władze państwowe, przy przeprowadzaniu reform życia społecznego. Obecnie narzą państwa kierują ludzie, którzy zdają sobie doskonale sprawę, w jakim kierunku idą i mają oparcie o demokratyczne partie i narody. Sądownictwo polskie dawniej było oddzielone od społeczeństwa rzekomo dlatego, aby zachować swą bezstronność w stosunku do obywateli. Odsunięcie sędziów od polityki i obywateli nie mogło być dobre, gdyż sędzia nie może poznać jego bólu, krzywdy, nędzy. Wymiar sprawiedliwości oparty był na interesie klasy posiadającej i nie miał charakteru społecznego.”

Dlaczego sędzia odsunięty od czynnego zajmowania się polityką nie może poznać „bólu, krzywdy, nędzy” obywatela — pozostanie tajemnicą demagogicznego rozumowania p. Barcikowskiego. Ale to tylko nawiasem!

## PROKURATOR

Inny teoretyk reżimu, jak np. ppłk. dr. Muszkat, wiceprezes Najwyższego Sądu Wojskowego, w swych pomy-

ślach reformy wymiaru sprawiedliwości idzie jeszcze dalej, ściśle po linii wzorów sowieckich. Jest on zwolennikiem podporządkowania sądów i prokuratury czynnikowi politycznemu, mianowicie Prezydium Krajowej Rady Narodowej. Prokurator miałby się stać wszechwładnym czynnikiem w państwie.

„Prokuratura uzależniona od KRN — streszcza wywody ppłk. Muszkata „Gazeta Ludowa” — wyposażona w olbrzymie władze miałaby szerokie i daleko idące uprawnienia. Naczelne organy prokuratury winne mieć prawo zaskazania wyroków wydanych wadliwie, nawet prawomocnych, prawo zaskazania i obalania uchwał terytorialnych rad narodowych, a nawet rozporządzeń rządu, gdyby one naruszały podstawę demokracji... Prokurator miałby uzyskać prawo nie tylko aresztowania winnych, którzy popełnili przestępstwo, bez decyzji w tej sprawie sądu, ale również i prawo aresztowania prezenywnego, a więc aresztowania osób, co do których obawiano się należy, że mogą popełnić przestępstwo.”

Ponadto prokurator otrzymałby prawo kontroli i nadzoru nad administracją państwową, nad każdym ministerstwem, nad wykonaniem ustaw. Miałby prawo badać sprawność działania kolei, fabryk, prawo wkraczania w ścisłą kontrolę konfidentów, wykonywanie reformy rolnej i t.d.”

Zdumiony czytelnik tych pomysłów, bynajmniej niefantazyjnych, może właściwie zapytać, czy nie praktycznie byłoby zamknąć prewencyjnie wszystkich obywateli do obozów pracy, pozostawiając na wolności tylko prokuratorów i „aktyw” PPR? Sukces „de-

mokracji” w Polsce byłby wtedy zapewniony.

Jak te wszystkie reformy czy plany reform odbiegają od tego, co przyjęte jest w społeczeństwie polskim, należącym do społeczności narodów zachodnich! Na Zachodzie podstawowymi gwarancjami wolności i praw człowieka i obywatela jest zasada, że nikt nie może być aresztowany bez zezwolenia sądu. Sądu niezawisłego od jakiegokolwiek wpływu politycznych czy administracji państwowej.

W Polsce doktora Muszkata panować mają inne zasady. Obywatel ma być zdany na samowolę prokuratorów, „bezpieki”, milicji i jej nowych rezerw.

## SEDZIA

Reżim warszawski liczył początkowo, że sędzia będzie posłusznym wykonawcą jego nowych pomysłów. Sędziowie też otrzymali z ust wiceministra sprawiedliwości Chajna słowa pochwały:

„Polskie sądownictwo w okresie okupacji zademonstrowało czystość moralną, patriotyczne stanowisko i walkę o praworządność, co uczyniło z sądownictwa naturalnego sojusznika obozu demokracji. Zamówienie do legalizmu, poszanowanie dla władzy sprawiło, że sądownictwo szybko stało do pracy i często z ofiarowym poświęceniem oddało się oddaniu państwowości polskiej. Przymierzając głodem, przyczyniającą potrzebę

siłą na kontynencie i głównym sojusznikiem w walce z komunizmem są nie partie socjalistyczne, lecz ruchy chrześcijańsko-demokratyczne. Europa, która odrzuca przywództwo Moskwy, szuka inspiracji nie tyle w Londynie, co w Rzymie.

## POLITYKA W. BRYTANII

Oto tło dla toczącego się w tym tygodniu kongresu brytyjskiej Labour Party, na którym rządząca W. Brytanią partia ustali swą politykę na przyszłość.

Wielka debata o polityce zagranicznej, która poprzedziła ten kongres, wykazała, że idąc po obranej przez p. Bevinia linii, rząd może liczyć na poparcie olbrzymiej większości społeczeństwa. Podobnie jak w St. Zjednoczonej polityka zagraniczna przestaje być tematem rozgrywek wewnętrzno-partyjnych. Między rządem, a opozycją nie ma dużej różnicy poglądów. Istnieje natomiast niemalże przepaść między rządem z jednej strony, a małą grupą krypto-komunistów, kryjącą się w samej Labour Party. Ta grupa w końcu będzie musiała zdemaskować się i zapewne wyjść z Labour Party. Im prędzej to nastąpi, tym lepiej.

W świetle tej debaty można stwierdzić, że o dalszym uprawianiu nieszczęsnej polityki „appeasementu” nie ma mowy. Jak powiedział wiceminister MacNeil wśród okłasków: „Jeden „appeasement” w jednym pokoleniu, to o jeden za dużo”. Byłoby jednak bardziej trafne powiedzieć, że dwa „appeasementy” w jednym pokoleniu, to dwa za dużo. Czymże bowiem była haniebna Jalta, aniżeli większym i gorszym Monachium?

Z konieczności przekreślenia nieszcześniejszych układów wojennych społeczeństwo brytyjskie nie dało sobie jeszcze sprawy, aczkolwiek warto podkreślić głos posta Boothby, który stwierdził, że przesłanki, na których się te układy opierały, okazały się fałszywe. On i paru innych posłów domagało się skończenia z układem poczdamskim. Ale to nie wystarczy. Teheran, Jalta, San Francisco, Poczdam to całość. Trzeba wszystko to zburzyć i budować od nowa.

O ile postępek jest duży, jeśli chodzi o zrozumienie katastrofalnych skutków dotychczasowej polityki, to gorzej ma się sprawa, jeśli chodzi o znalezienie nowej linii postępowania. Opozycja i część Labour Party zaleca pogodzenie się z podziałem Europy na dwie części i organizowanie bloku zachodniego. Premier Attlee odpowiada na to: „Nie chcemy przyjąć podkrotowanej rozpacz rady, dzielącej Europę na dwa całkowicie oddzielne obozy”. Ale ani rząd, ani parlament nie widzi jak temu zapobiec.

Ostateczną próbą czy da się takiego podziału uniknąć będzie wyznaczone na sobotę nowe spotkanie 4 ministrów w Paryżu. Nie tymczasem nie wskazuje by mogło ono dać lepsze wyniki, niż poprzednie.

Londyn, 9 czerwca, 1946.

LECTOR

ALEKSANDER BORAY

TADEUSZ NALER



Na różnych drogach można wylowić, spośród mnóstwa znaków i napisów tajemnicze słowo: *salvage*. W słowniku polsko-angielskim można odnaleźć to słowo i oznacza ono: ocalenie okrętu lub towaru. Ale do słownika lepiej nie zaglądać, bo wokół tego słowa narodziło się całkiem nowe pojęcie.

Trzeba natomiast uważać na strzałki, które znajdują się pod napisem: *salvage*, a doprowadzają one do miejsca, zamkniętego z dwóch stron ścianami lasu. Oczywiście ten las znów z kolei nie ma nic wspólnego z tym *salvage'm*. Stanowi tylko dwie mocno zarysowane linie ram obrazu. Jeśli znów staniami twarzą w kierunku południowym, to w dalekości horyzontu wypływa otwarta płaszczyzna pola, z dużą, złotą plamą kwitnącego rzepaku.

A trzeba być doprawdy bardzo wrażliwym na kolor lasu i wiosenną jasność pola, by dostrzec to drugo-planowe zjawisko. Bo pochłania nas, przytłacza co innego: niesłychana mnogość wszelakiego sprzętu, który już nikomu niepotrzebny, niekalkulujący się nawet do naprawy, zaściana olbrzymią przestrzenią pola. W doskonałej martwocie, w bezwładzie, stoją porzucone samochody wojskowe, czołgi, motocykle; leżą szczątki samolotów. Wszystkie typy i rodzaje, jakie tylko brały udział w wojnie. Niektóre wydawało by się z pozoru, że porzucono przez omyłkę. Jakies niewielkie drobniaki zdecydowały o wyrugowaniu ich z życia i ruchu. Inne demonstracyjnie odsłaniały swe kalekotwo: jakies pogięte maski i rdzewiejące motory.

Można się zadumać nad martwością tego widoku, nad wszelakim przemianiem rzeczy żywych i martwych, nad obrazem tego osobliwego rozkładu. Można by opowieścią uczcić przynajmniej człowieka z maszyną. Odpowiadałoby to czasom stali i żelaza, byłoby nawet oryginalne i bohaterkie.

Ale ten bezwład i bezruch odpycha nas, a silna jest ludzka wrażliwość na kolor i zapach lasu. To też odejdziemy drogą zoraną taśmami gąsienic, w sam środek lasu. Pamięć tamtego widoku zgaśnie nagle, a najistotniejszy stanie się sens światła, kolorów i cieni. W dodatku świąt ptaek zachlystującego się piśnią, podpłynie od strony ciemniejszego gąszczy i hymnem napelni las, który jest jak strzelista świątynia.

Gdy tak wszystko w nas będzie już pełne wewnętrzznego ładu i spokoju, rozradowane lasem, natrafimy na piaszczystą drożynę, biegnącą w poprzek naszej drogi. Skrećmy, bo pociąganie nas tęsknota nowych widoków, nadzieja nowych wzruszeń. Wysoka, piaszczysta wydma przegrodzi horyzont, ale to nas tylko podnieci. A potem, zbiegając po dziecinnym z nasypaniu, spadniemy prawie na dachy drewnianych baraków. Wpadniemy w środek ludzkiego gwaru, dziecinnych krzyków i nawoływań. Nad dachami drewnianych baraków i ponad gwarem dziecinny będzie się jaskrawił biało-czerwony sztandar.

Nie potrzeba pytać, bo napis już mówi, że to jest polski obóz D.P. Krótka była droga od samochodowego do ludzkiego *salvage'u*! Chciałoby się w pierwszej chwili zawrócić z powrotem, uciec stąd, nie słysząc, nie widząc, ale zagarnia nas dźwięk polskiej mowy. Będzie to najczęściej

twarda mazurska gwara, ostry akcent poznański lub ciepły, śpiwny ton kresowy.

Trzeba najpierw pozyskać zaufanie tych ludzi, przełamać nieufność. — „Tyle tych różnych tu się kręci, a każdy ino cygani” — wyjaśni mi potem Józef M., chłop z Poznańskiego. Otwierają się gościnnie jakieś drzwi, ktoś zaprasza, taje milczenie i nieufność, rozmowa się rozżarza. Dole i niedole tych ludzi są takie, jak wszędzie, są standardowe jak puszkę UNRRY. Ten sam ogrom pytań, ta sama kruchość nadziei. Nie zadają nawet na swe pytania odpowiedzi, nie proszą o radę, bo wiedzą, że my przybyliśmy z poza obozu niesiemy z sobą podobny ciężar troski.

Mateusz Maziar opowiada z twarzą zaciętą, z oczami utkwionymi w podłogę. Mateusz jest już stary i tą starością bezradny. Resztę sił stracił w niemieckich obozach. Do kraju nie wraca, bo ziemia została za Bugiem. Nie może przetrawić w sobie, że mu te ziemie odebrano. Wygląda, jak drzewo, które wyrwano z gleby.

A w dodatku wspomnienie syna jest jak zły sen. Syn to jedyna bliska istota, która mu ocalała. Odnalazł go zaraz po uwolnieniu w Niemczech. Był z nim razem, ale teraz odpędza od siebie

pamięć tego syna, jak widmo natarczywe. — „Rozpaskudzili mi chłopaka” — powiada. Kreśli przy tym suplastymi rękami jakiś niezadany gest, który ma oznaczać, że obwinia wszystkich wokół o tego syna. „Taki wstyd! Cudzego nie uszanuje, ojca za nic nima” — powtarza ten jednostajny refren.

Wypowiada te skargi bez związku, mozolnie, jakby przygniatały go niesłychanie. — „Gdyby wrócił na swoje, to by się może ustałkował”.

To czego Mateusz Maziar wypowiedzieć nie może, ludzie z obozu chętnie uzupełniają. Mówią, że ten jego synalek to lajdak skończony, że wstyd Polakom przynosi, że gdyby nie ucieki, siedziałby, jak amen w pacierzu, już dawno w więzieniu. Podobno go gdzieś widziano. Dobrze mu się powodzi, robi świetne interesy.

O zmierzchu na jednej ze stacji niemieckich zatrzymuje się aliancki pociąg wojskowy: Hannover — Bruksela. Od jednego z peronów odrywają się jakieś cienie, dopadają skrycie wagonów stojącego pociągu. Obiegają korytarze, przejścia. To Polacy, ubrani w mundury wojskowe różnego asortymentu.

Może jeden z nich to syn Mateusza Maziar, myślę. Jedzie „robić świetne

interesy”. A tymczasem brytyjskie M.P. już wylapuje natrętnych pasażerów bez prawa przejazdu. Cienie znikają w zmroku. Będą czekać na następną pociąg, na następną okazję. W korytarzu pociągu przechadza się jeszcze brytyjskie M.P. i patrzy podejrzliwie na każdego wojskowego, który ma na rękawie napis: *Poland*.

W brukselskim tramwaju młody konduktor wyraża swój podziw dla Polaków. — „Walczyliście wszędzie w tej wojnie. Nie tylko na frontach zachodnich, nie tylko u siebie w kraju, ale w całej Podziemnej Europie. Ja tu w Belgii byłem w „*Résistance*” razem z Polakami. J'admire les Polonais!”

A gdy wracam do przypadkowo wynajętego hotelu, widzę wylamane zamki u walizki. — „Złodzieje” — przemknęło mi w świadomości. — „Żle pan trafił — mówi do mnie jakiś obcy człowiek, jak się okazuje lokator z sąsiedniego pokoju. — „Tu zatrzymuje się dużo Polaków. Dzisiaj dlatego była policja i szukała różnych nielegalnych przedmiotów. Zabrali właściciela”.

Do samego odjazdu z Brukseli nie opędać się od tych obrazów i faktów. Przybędzie wiele nowych. Będzie mowa o uciążliwych cudzoziemcach, Polakach i o jakichś aresztowaniach. We

mnie narastał będzie jak cień obraz ludzkiego, polskiego *salvage'u*, porzucanego na różnych drogach Europy.

Poza tym pozostanie we mnie kołysty, niezadany gest Mateusza, obwiniającego wszystkich. Mateusz ma rację. Ale, aby to uzasadnić trzeba powtórzyć wykartę już prawdę, że ludzi tych wykołysta wojna. Hitler niszczył wszystkie podstawy naszej moralności, gdyż to łatwiej poddawało ludność podbitej Europie niemieckiemu niewolnictwu. Trucizna taka brutalnie i obficie dozowana przeżarła niektórych ludzi. Trudno wymagać, by wszyscy byli na miarę olbrzymów. Gdy wyszli z piekła poniżenia i niewoli na wolność, nikt im nie podał pomocnej ręki. Wojska alianckie uwolniły Europę od zmyru niemieckiego panowania. To bardzo dużo. Ale do Europy wyniszczonoj moralnie nie przedostał się najmniejszy blask światła, któryby rozproszył ciemność, jaka zapanowała po zniszczeniu przez Niemców podstaw naszej cywilizacji chrześcijańskiej. To bardzo mało. *Swings* i guma do żucia to stanowczo za mało.

Posiew rzucony ręką niemieckiego zbrodniarza krzewi się, dojrzewa: wydatek plon. Nikt tego plonu nie niszczy. Gdzie ma ten prosty człowiek szukać natchnienia, kogo ma naśladować? Owszem naśladować! Oto kradnie, bo w tych czasach kradnie się całe państwo. Handluje nielegalnie, bo nielegalnie handluje się całym narodem. Kłamie, bo kłamia ludzie na najwyższych szczeblach władzy. Nienawidzi, bo nienawidzi uczy radio i gazety. Nieszczęście jego nikogo nie wzrusza, bo staje się ono potrzebne do przetargów międzynarodowych.

Wydaje się, że jeszcze czas tym ludziom podać rękę. To trzeba koniecznie zrobić. W Niemczech, na pewnych terenach napotkać można tego rodzaju wysiłki. Trzeba taką akcję upowszechnić. Oddziaływać na tych ludzi wszelkimi środkami. Trzeba wytłumaczyć UNRRZE, że nie tylko ważna jest sprawa fizycznego głodu; jest przecież inny rodzaj chleba, który tym ludziom od dawna odjęto.

Są to najczęściej ludzie młodzi. Dojrzałymi w walce. Walczyli bronią słabego, a więc nie tylko odwagą, ale chytrą, podstępem, często kłamstwem. Niektóre z tych cech w nich okrzepły. Wychodząc na wolność, nie poczuli pod nogami mocnego gruntu. Wpadli wprost w trzęsawisko europejskie, w które zapadają się coraz głębiej. Niektórzy nie mają nikogo na świecie. Są straszliwie samotni. Wydaje się, że jest jeszcze czas, by wyciągnąć pomocną rękę, by rozbudzić w nich wrażliwość na to, co jest w człowieku wielkie, piękne i nieśmiertelne.

Powstrzymuję się w tej chwili od kreślenia jakiegos zbawczego planu. To jest tylko apel do ludzi dobrej woli: ratujecie póki czas. Piszę ten apel dlatego, bo wtrząsnął mną do głębi obraz ludzkiego *salvage'u*, marniejącego, odtrącanego od życia.

Z niektórymi z tych ludzi byłem razem w wale. Były to niegdyś serca mężne o głębokim umiłowaniu sprawiedliwości i wolności. Takie są, takie być mogą znowu.

Parýż, w maju 1946 r.

STANISŁAW ZADROŻNY

## „Błyskawica”

W dniu 28 maja 1946 r. bandera wojenna Wolnej Rzeczypospolitej Polskiej, powiewająca na kontrtorpedowcu „Błyskawica” od 1936 roku, została spuszczone.

Okręt, który był pod Narwikiem i pod Dunkierką w bitwie o Atlantyk, i w inwazji Afryki Północnej, i w bitwach o Malte, Sycylię i Pantelarię, i w działaniach w obronie Anglii, i w raidach na wody niemieckie, a w końcu w inwazji Francji i działaniach końcowych na Biskajku odeszł do Gdyni. Tam zapewne znów podniosą na nim banderę, ale już nie tę, która wolność i niepodległość Narodu symbolizowała, lecz tę, o której przybyszący z Polski uciekinierzy twierdzą, że wymyślona w Moskwie, ma w swym polu nie orła, ale... kuropatwę.

Dzienne rzeczy dzieją się dziś na świecie. Żyjemy w dobie zakłamania i perfidii, wobec której czasochłonna Machiavella czy Metternicha wydają się sielanką. Ale to właśnie skłania nas do przypuszczenia, że okres ten nie może trwać długo. Fałsz, kłamstwo i gwałt nie są, jak uczy historia, składnikami, przy pomocy których można stać się rządzić.

Rząd Brytyjski, związany obietnicami w Jalcie i Poczdamie, skoro raz uznał Tymczasowy Rząd w Warszawie, musi teraz ulegać żądaniom idącym ze Wschodu. Chce dać dowód dobrej woli, wręcz przeciwnie od tamtej strony. Tam przecież nie wykonano ani jednego z uroczystych przyrzeczeń, dotyczących rozszerzenia rządu, nowych, wolnych i tajnych wyborów,

wolności słowa, swobody poruszania się i t.d. i t.d.

Ale ważny rzecz z prawnego punktu widzenia. Okręt należy nie do tego lub innego rządu, lecz do Narodu i Państwa. Państwo Polskie, jako niepodległe i suwerenne dziś nie istnieje, na to zgadzają się już nawet ci, którzy przez długie lata namawiali nas do ustępstw na rzecz Rosji — Naród nie może wypowiedzieć swojej woli ani w wyborach, ani inaczej.

Jest tylko „rząd”... Ale rząd w Warszawie nie tylko nie jest emanacją Narodu, jak być powinno, lecz przez wszystkie państwa sojusznicze (włącznie z Rosją) uznany jest tylko, jako „rząd tymczasowy”. A przez niektóre nie uznany w ogóle. Jego więc żądania czy postanowienia nie mogą mieć decydującego i trwałego charakteru. Są „tymczasowe”...

I tu stajemy wobec tragedii. Ukochany przez polskich marynarzy, najślynniejszy polski okręt, który przez długie lata był jedynym szczytówką Wolnej Polski, staje się dziś przedmiotem rozgrywki politycznej. Tymczasowemu rządowi w Warszawie potrzebny jest dla wzmocnienia autorytetu, siedzącego na bagnietach sowieckich, dla dowiedzenia, że tam, w Anglii, nie ma już nie prócz „zgrai faszystowskiej emigracji”, a wreszcie dla demonstracji, iż rząd brytyjski musiał ulec żądaniom idącym z Warszawy. Cel jest jasny.

Z drugiej strony dla rządu brytyjskiego oddanie „Błyskawicy” jest do wodom dobrej woli, a zarazem napom-

nieniem, iż z tej strony nie daje się powodu do nieporozumień, natomiast żąda się takiego lojalnego spełnienia zobowiązań. Czy ta dyskretna lekka taktu i poszanowania umów odniesie skutek — ośmielamy się wątpić.

Jednak serca marynarzy O.R.P. „Błyskawica” nie przestana bić dla Polski z tego powodu. Ci, co przeżyli Bitwę o Wolność Mórzu, wygrają i Bitwę o Wolność Świata. Na pewno nie ugną się i nie ulekną. Można odebrać okręt — ale ducha wolności, ducha nieskalania polskiego — nikt i nie im nie odbierze. ani też wiary w lepsze jutro, bo zło nie może rządzić światem.

Kto wie, może kiedyś w wolnej Polsce „Błyskawica”, tak jak dziś w Anglii „Victory”, zamurowana w suchym doku, stanie się pomnikiem narodowym, do którego ciągnąć będą tłumy, oglądając ze czcią okręt, który nie ustąpił z placu boju, gdy wszystko zdawało się stracone, okręt zboczony krwią pod Narwikiem, Dunkierką i Bougie, a jednak zwycięski do końca. „Błyskawica” to taka nasza „Victory”.

I dlatego, właśnie dlatego, że okręt jest własnością nie rządu, nie admirałów i marynarzy, ale Narodu Polskiego, Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej okręt władzom brytyjskim przekazał, lecz złożył oficjalny protest.

O losach „Błyskawicy”, tak jak o losach Polski, zdecyduje w wybranej przez Boga chwili — Naród.

JULJAN GINSBERT

## Mord za podwójną kurtyną

Narody Europy Środkowo-Wschodniej oddzielone są od reszty świata tym, co Churchill nazwał w sierpniu roku ubiegłego „żelazną kurtyną” i odgrywają przymusowo rolę satelitów Związku Sowieckiego. Przez obszary te przebiega jednak jeszcze drugi kordon, ograniczający obszary sowieckiej strefy wpływów od tych terytoriów, które Moskwa postanowiła włączyć bezpośrednio i bezwzględnie do ZSRR. Obok wschodniej Karelii i Besarabii oraz naszych Kresów w położeniu tym znalazły się trzy republiki bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia.

Zza kurtyny, przebiegającej od Szczecina do Triestu, dochodzą nas wiadomości, zbyt szczupłe i fragmentaryczne, zbyt często stronnicze, lecz mamy pewne ogólne wyobrażenie o tym, co się dzieje na terenie siedmiu państw, położonych między tą linią a granicą narzuconą przez Sowietów. Co się dzieje z trzema niegdyś niepodległymi, kwitnącymi republikami bałtyckimi?

Państwa te, powstałe w wyniku przewrotu politycznego, jaki nastąpił u schyłku pierwszej wojny światowej, były żywym przykładem słusności zasady samostanowienia narodów o swym losie. Niezbyt zamożne i, poza do pewnego stopnia Litwą, pozbawione tradycji samodzielnego bytu państwowego, chłopskie w swej budowie społecznej — potrafiły jednak prześcignąć wiele państw europejskich w dążeniu do praktycznego urzeczywistnienia zasad czterech wolności. W krótkim, bo niespełna 20 lat trwającym okresie niepodległego bytu, dokonały one rzeczy, które mogą być przedmiotem podziwu wielu starszych od nich społeczeństw, a zawiści ze strony ich wschodniego sąsiada.

Ledwo skończyły się obchody dwudziestolecia niepodległości, przyszedł fatalny rok 1939. Wiosną Litwa utra-

ciła Kłajpedę na rzecz Rzeszy. Pakt Ribbentrop-Mołotow przesądził sprawę niepodległości wszystkich trzech narodów, a wrześnieowa klęska Polski los ten przypieczętowała. Dnia 28 września Litwa, Łotwa i Estonia otrzymały od Kremla ultimatum: garnizony, bazy i sojusze, albo okupacja natychmiastowa i całkowita... Nie ma wyboru.

Potrójna warunkowa kapitulacja daje sowieckiemu koniowi trojańskiemu prawo postoju w załężnionej Nadbałtyce. Przez dziewięć miesięcy, od października roku 1939 do czerwca 1940 roku, wojska sowieckie mają swe bazy w głównych punktach strategicznych trzech państw.

W tym okresie nie mieszą się one na pozór do spraw wewnętrznych. W sercach Litwinów, Łotyszów i Estończyków kiełkuje nadzieja, że Rosja pójdzie za głosem rozsądku i ludzkości, że uszanuje podpisanie przez siebie uroczyste umowy. Zgadzą się oni na rolę strategicznego przedpoła Sowietów, pod warunkiem, iż będą mogli pozostać samodzielnymi kulturalnie i gospodarczo.

Jednakże instynkt i tradycja polityczna Moskwy przeciwna jest takiemu rozwiązaniu. Klęska mocarstw zachodnich na kontynencie europejskim, z wiosną roku 1940, daje okazję do

rozprawienia się z trzema słabiutkimi „sojuznikami”. Przychodzi pierwsza okupacja sowiecka, plebiscyt i deportacje. Potem wojna niemiecko-rosyjska i nowa okupacja, wraz z próbami przystosowania się, ale jednocześnie i z usiłowaniami oporu.

Rok 1944 przynosi t.zw. „wyzwolenie”. Litwa, Łotwa i Estonia — kraje w całej pełni dojrzałe do niepodległego bytu politycznego, gospodarczego i kulturalnego — zostają po raz drugi przemocą włączone do Związku Sowieckiego i traktowane, jako jego prowincje. Wbrew najoczywistszej prawdzie, świadkom, cyfrom i faktom, propaganda sowiecka zaczyna rozpowszechniać legendę, że dopiero Związek Sowiecki „uwolnił społeczeństwa bałtyckie od faszystowskiego ucisku rodzimego, kulackiego kapitalizmu”.

Jednocześnie nie dopuszczają się na teren Nadbałtyki obserwatorów zagranicznych. Jeszcze na schyłku wojny zablakł się tam przypadkowo ówczesny korespondent londyńskiego dziennika „News Chronicle”, Paul Winter-ton, lecz nie pozwolono mu zostać dłużej i obserwować gospodarki władz sowieckich. Nawet członkowie fińskiej partii komunistycznej, którzy chcieli złożyć wizytę komunistom estońskim nie otrzymali pozwolenia na wjazd do Tallina.

## Skrzynka pocztowa

LIST ANGIELSKIEGO PRZYJACIELA

Dear Sir,  
I hope you will forgive me for troubling you with a letter, but I should like just to offer my most sincere apologies—and I think I speak not only for myself, but for all the friends of Poland—and to say how very ashamed I am at the affront offered to the Polish Fighting Forces,

both here and abroad, by their non-representation in the Victory March on June 8th.

I believe the British League of European Freedom is trying to get this altered, and I have myself written to the Secretary for Foreign Affairs and the Member for Westminster.

In conclusion, I would like just to

say that we who love and honour the Polish Fighting Forces—staunchest of allies and truest brother-in-arms—will never forget the debt owed to their matchless valour and loyalty, and the unconquerable courage of Poland. Yours very truly,

G. E. BASS

Infant, skazanych jeszcze na osiedlenie za czasów carskich. Im powierza się przeważnie odpowiedzialne stanowiska, gdyż z jednej strony uważa się ich za politycznie pewnych, z drugiej zaś, w wielu wypadkach, władają oni jeszcze miejscowymi językami.

Na terenie wszystkich trzech republik panuje stan obłączenia i działają sądy wojenne. System szkolny dostosowywany jest w szybkim tempie do sowieckiego, przy czym w szkołach forsuje się organizację t.zw. „pionierów”, to jest harcerzy typu sowieckiego. Przeszkolenie wojskowe obowiązuje od dwunastego roku życia. Gwałtownie forsowane jest prawosławie, natomiast zwalczana jest energicznie propaganda tak protestanctwa, jak i katolicyzmu.

Obserwatorzy państw bałtyckich uważają, iż jeżeli stan obecny potrwa przez pięć do sześciu lat, to owe trzy wysoko rozwinięte pod każdym względem narody europejskie przestaną istnieć jako zwarte społeczności. Zostaną rozproszone po obszarach sowieckich, pozostając jedynie jako wspomnienia na kartach atlasów i podręczników historii. W ten sposób granica Europy zostanie trwale przesunięta na Zachód, ustępując miejsca przewadze materialnej Azji, sprzymierzonej z gnuśną, tchórzliwą obywatelnością Zachodu.

Amerykańscy zwawcy prawa, występując na procesie w Norymberdze, stworzyli nowe słowo: „genocidia”; oznacza ono zbrodnię zabójstwa popełnioną na całym narodzie. O tę zbrodnię oskarżeni są Niemcy przy pomocy wojny za usiłowanie wyniszczenia Żydów i Polaków. Kiedy wolny świat zdobędzie się na odwagę, aby się upomnieć o los Bałtów, skazanych na to samo?

M. K. DZIEWANOWSKI



# NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywateli! Zgnięta emigracja i szczerza demokracja! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwoności!

Miałem w ubiegłym tygodniu przysłany, którą wam, moi mili, przedstawię dzisiaj na tej mojej paczce od mydła — z dowodami rzeczowymi.

Zdarzyło mi się to akuratnie 8-go czerwca, gdy brałem razem z „moją soap box“ udział w pochodzie rozczarowania czyli tzw. „Victory Parade“, która się odbyła na ulicach Londynu.

Nie wiem czy z powodu wzruszenia, jakiemu uległem w czasie tego pochodu, jako jedyny reprezentant Polaków, czy z powodu zdenerwowania, wywołanego krzywdzącym brakiem delegacji sowieckiej — nie wiem — dośń na tym, że mnie złapał niespodziewany, zwycięski rozstrój żołądka, co wytrąciło mnie z szeregu dumnej parady i zmusiło do wyładowania w zaciśnym podziemiu polskiego zakładu gastronomicznego, gdzie na kolku...wisiły gazety.

Oczywiście — jak przystało na „faszystowski“ lokal — były to gazety „peperowe“ a wśród nich, praktyczny dla takich okazji, szeroki, drugi „Robotnik“ warszawski. Stary numer — jeszcze z marca. Zaczęło podziemnie ukoło moje nerwy i oddałem się lekturze — przy czym jak się okazało, zaczętałem od tego stopnia, że pod drzwiami sforsomowałem się wcale przyzwoity „queue“, cierpliwych, na brytyjskich manierach wychowanych „London Poles“...

Było mi bardzo przykro z tego powodu, ale gdy wam przeczytałem artykuł, w którym się tak zaczynałem, nie poczucie mi tego zaczynała się za krok niepożyczalnym. Słuchajcie. Artykuł, który mnie przykuł

— do wiadomego miejsca — nosił fascynujący tytuł „30 dni w Z.S.R.R.“ Autor: Kazimierz Rusinek. Przytoczę wam tylko kilka fragmentów, na które autorowi tam wtedy, w zaciśnym podziemiu, w myślach moich, od razu odpowiadałem.

Rusinek: Jechałem do Związku Radzieckiego po... Prawdę. Przed wojną prawda o Związku Radzieckim była w Polsce towarem zakazanym.

Żądło: Po co obywatel tam jechał? Przecież teraz prawda o Związku Sowieckim jest w Polsce nie tylko towarem dozwolonym, ale nawet zachwalanym. Jeszcze nigdy towar ten nie był tak bardzo znany i tak bardzo...niepopularny.

Rusinek: Związek Radziecki — to zupełnie inny i nowy świat. Życie tutaj jest szybsze i bardziej pływne. To kraj rekordów.

Żądło: Brawo. W zupełności się zgadzam. Całkiem inny świat. Życie szybsze. Najszybciej kończy się życie np. na Wyspach Sotowieckich. Rekordy? Jeszcze jakie. Światowe np. „rekordy“ Jagody, Dzierżyńskiego i Berii!

Rusinek: Związek Radziecki książkę i radio zaniósł do najdalej chaty Kałmuka i Kirgiza, Jakuta i Mongola...

Żądło: Szkoda, że nie zaniósł do tych chat trochę zegarków. Kałmuki nie rzuciłyby się na nie w Europie z taką chciwością! Książka? Radio? Ciekawe! Nasi biedacy „ewakuowani“ na Sybir w latach 1940/41 opowiadali, że w niektórych zaciszach jakuckich, mon-

golskich i kirgizskich — nie wierzone jeszcze w zamordowanie rodziny carskiej i nie wiadząco o nowej drugiej wojnie światowej...

Rusinek: Tempo! Tempo i rozmach! Kupujesz widokówkę Moskwy. Ulica Gorkiego. Dom grodzkiego Komitetu Partii. Wracasz po roku i tego domu nie znajdujesz? Czy został zburzony? Nie. Czy zniósł go bomba atomowa? Nie. Więc co? Po prostu i zwyczajnie: został „tylko“ przeniesiony na inne miejsce. Bagatela. 28 metrów w głąb ulicy. To jest nowa Rosja. Plan i technika. Urbanistyka i rozmach...

Żądło: Nie nowego. Kupujesz mapę Polski! Wołyni, Podole, Karpaty, Drohobycz, Borysław, Nowogródek, Krzemieniec, Wilno, Lwów. Wracasz do mapy kilka razy i domu własnego nie znajdujesz. Czego miasta! Ciałych dzielnic Polski. Czy zostały zburzone? Nie. Czy zniósł ją bomba atomowa? Nie. Więc co? Po prostu i zwyczajnie: zostały „tylko“ przeniesione na inne miejsce. Bagatela. 2800 kilometrów na zachód! Razem z ludnością. Plan i technika! Rozmach! Znamy tę „urbanistykę“ obywatelu R. — znamy.

Rusinek: Weszliśmy w okres nowej Wiosny Ludów, zbliżenia, sojuszu i współpracy ze Związkiem Radzieckim. Zaufanie buduje prawda i szczerść.

Żądło: Proponuję nowy slogan: „P.P.R. — pewność i zaufanie!“

Rusinek: Na konferencji moskiewskiej mówił generalissimus Stalin: „Nie żądamy, żebyście nam wierzyli

na słowo. Nie możecie nikomu wierzyć na słowo...“

Żądło: Czyżby? E?... Ludziom tak znanym ze słowności. Dlaczego?

Rusinek: „Sądźcie nas — powiedział — i ustosunkujcie się do nas według naszych czynów...“

Żądło: Czy „według“ tajnego czynu z Niemcami z 3 sierpnia 1939 r. — czy „według“ jawnego czynu z Niemcami 17 września 1939 r.? Czy „według“ tajnego czynu pod Warszawą podczas powstania? Czy „według“ jawnego czynu przed procesem podziemnego rządu polskiego w Moskwie?

Rusinek: Słuchając w Moskwie braw i okrzyków na cześć narodu polskiego, miałem uczucie wodza zwycięskiej armii, który odbiera defiladę.

Żądło: (informacyjnie, na stronie, do swoich słuchaczy). To nie są słowa generalissimusa Stalina, to słowa „general-lizusa“ Rusinka. (głośno w myślach do autora) Pamięta obywatel, jak Moskwa witała walczącego z Hitlerem w sierpniu 1939 r.? Jak żołdacy na rozkaz tapy wyciągali w podziwieniu „nazistowskim“ przed Ribbentropem, jak się na dworcu z dubeltówki całowali?

Rusinek: I przez cały czas pobytu w Z.S.R.R. nie mogłem się uwolnić od uczucia wstydu...

Żądło: Brawo obywatelu! Jednak sumienie się budzi...

Rusinek: ...Nie mogłem się uwolnić od uczucia wstydu za was w Bydgoszczy i w Częstochowie, za was polscy faszyści,

sprawcy zamachu bombowego na pomnik żołnierza Czerwonej Armii w Łodzi, za was autorzy pogromów w Krakowie i Wierchowicach...

Żądło: Niech obywatel przestanie, bo serce się kraje z żalności! Obywatel zapomniał jeszcze wymienić tych faszystowskich Polaków, którzy przemocą najechali Związek Radziecki w latach 1940/41/42 wyrabując masowo drzewa, wypijając cały „kizpiatok“, zabierając wszystkie korzonki w Kazakstanie. Na Ziemi Franciszka Józefa i w górach Ałtajskich, unosząc na własnych plecach najpopularniejszą zdobycz kulturalną Związku Radzieckiego: wesz.

Rusinek: ...I przypomnieli mi się słowa, które Puszkim wypowiedział do wrogów Rosji. „Za co wy nas tak nienawidzicie? Za co?“

Żądło: (trzęsąc się z płaczu, przytulony do zimnej ściany zacisza, bije głową z rozpaczą w wiszące na kołku gazety). Ja nie wiem za co! Nikt nie wie za co! Przebaczone! Nie opuszczajcie nas! Nasza wina! Na pohybel Churchillowi, na pohybel Andersowi, na pohybel Bevinowi, na pohybel Trumanowi! Ojciec narodów — ratuj słowiańskie owieczki! Niech żyje Rusinek! Musi żyć — i to dobrze. Po takich artykułach! Jeden krok do ody na cześć Stojca Narodów. Trudno: niech żyje. Może Bóg da, że kiedyś dostanie w Rosji więcej... niż — „30 dni“!

Do ustyszenia za tydzień na tej samej paczce z innymi kłopotami

Wasz

OBYWATEL ŻĄDŁKO

W ciągu czterech długich lat zmagani sowiecko-niemieckich wiele pisano o Armii Czerwonej i o jej wyczynach. Śmiało można stwierdzić, że wojska sowieckie miały w obecnej wojnie najlepszą prasę. Bo — cokolwiek o ich walkach pisano — napisano niejako na słowo honoru, na podstawie wiadomości z drugiej ręki.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

# Niebezpieczna książka

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego. To w znacznej mierze określa z góry jej nastawienie w sprawie polskiej.

Choć to trudne do wiary, to jednak jest faktem niezaprzeczonym, że na froncie sowieckim nie było dostojnie ani jednego korespondenta wojennego z Zachodu. Na próżno zagraniczni dziennikarze, akredytowani w Moskwie, stawali się o pozwolenie wyjazdu do wojsk na front; na próżno interweniowały sojusznicze ambasady i misje wojskowe. Stanowisko rządu sowieckiego było nieprzejednane. Urządzało niejako nagrody pocieszenia: zbiorowe wyprawy dziennikarzy zagranicznych z Moskwy na tereny uwolnione od Niemców, nawet do dowództw armii czy frontów. Ale prawdziwego frontu, żołnierza sowieckiego w akcji nie widział nikt.

Tym ciekawsze są uwagi dziennikarki, której udało się przełamać ten mur tajemnicy wojskowej i własnymi oczyma oglądać oddziały walczące na Pradze. Były to oddziały I. polskiej armii formowanej w ZSRR i pozostającej operacyjnie pod rozkazami naczelnego dowództwa sowieckiego. Opis tego odcinka frontu z czasów, kiedy Niemcy jeszcze trzymali ruiny i zgłiszczą Warszawę, podczas gdy Praga była już w rękach polskich oddziałów, wchodzących w skład Armii Czerwonej — zajmują ciekawą część niedawno wydanej książki amerykańskiej dziennikarki, znanej ze swych sympatii pro-sowieckich\*).

Książka zwięzła, dobrze napisana

jest jednak daleka od bezstronności. Po prawdzie kto słyszał o jej autorce — bezstronności od niej nie oczekiwał. Miss Strong wyjechała do Rosji po raz pierwszy w r. 1921 i od tego czasu często tam mieszkała i to przez dłuższe okresy. W r. 1930 założyła w Moskwie wydawnictwo w języku angielskim pn. „Moscow Daily News“ a dwa lata potem wyszła za mąż za Rosjanina Joela Szubina. Wydała kilka książek o Rosji, w których nie kryła swego uznania i podziwu dla Związku Sowieckiego.